

Marta Magaczewska

# Zaćmienie

*JanKa*



# Zaémienie

Marta Magaczewska

# Zaćmienie

*JanKa*  
2010

Copyright © Marta Magaczewska 2010

Projekt okładki  
Anna M. Koźbiel

Redakcja  
Jan Koźbiel

Korekta  
Jan Wiśniewski

Łamanie  
Pracownia DTP Aneta Osipiak-Wypiór

ISBN 978-83-62247-05-9  
Wydanie I  
Pruszków 2010

Wydawca  
JanKa  
ul. Majowa 11/17  
05-800 Pruszków  
[www.jankawydawnictwo.pl](http://www.jankawydawnictwo.pl)

*Tamtego dnia słońce okryło się mrokiem.*

## II PLOUHA

*... dążenia, nieraz podświadome, których efekt  
przychodzi dopiero po śmierci, ukryte skarby,  
które odnajdą jedynie cierpliwi i wytrwali...*

### 1

Następnego dnia obudził mnie stukot i przeciągłe skrzypienie. To wiatr odemknął połówkę okiennicy. Rozespany, spojrzałem na zegarek. Dziesiąta. Nieźle. Przed oczyma stanęła mi Lydia, co mnie natychmiast zirytowało. Chciałem o niej zapomnieć; próbowałem sobie wmówić, że nie warto o niej myśleć, bo tylko psuje mi krew. Prawda była jednak taka, że nie potrafiłem o niej nie myśleć. Byłem zaintrygowany i chyba najbardziej denerwowało mnie to, że dziewczyna umknęła ze swą tajemnicą.

Goliłem się leniwie, gdy do pokoju zapukano. Pomyślałem o Lydii i, zaskoczony, gwałtownie drgnąłem; maszynka wpadła do umywalki, a na ziemię spadło lustro. Rozprysło się, oczywiście, na tysiące milionów i jeszcze więcej okruchów. Tymczasem była to obsługa; do pokoju dostarczono śniadanie: bagietka, konfitura z moreli, kawa.

Włączyłem radio. Poranne wiadomości w Radio France.

„ – ... wyjechała do Boulogne sur Mer, gdzie miała spędzić wakacje u przyjaciółki, Yvette S. (lat dwadzieścia trzy). Nie dotarła jednak na miejsce. Tego samego dnia o dziewiętnastej na komisariat policji w Boulogne sur Mer zadzwonił mężczyzna, który zgłosił wypadek; miał widzieć, jak pod idącą wzdłuż urwistego brzegu dziewczyną obsunęła się ziemia i spadła do wody z dość dużej wysokości. Na miejscu natych-

miast zjawiała się policja, ekipa ratunkowa i pogotowie. Dokładnie przeczesano wskazane przez mężczyznę miejsce. W międzyczasie przesłuchano świadka. Był nim Adrien T. (lat czterdzieści dwa), mieszkaniec Lyonu, który spędzał w tej okolicy wakacje. Podał następujący rysopis ofiary: młoda, wysoka, około sto siedemdziesiąt centymetrów, średniej budowy ciała, długie rude włosy. Ubrana była w brązową wiatrówkę, niebieskie dżinsy i czarne buty. Dziewczyna zbliżyła się nadto do urwiszego brzeg i wówczas oberwała się skała pod jej stopami, więc wpadła do morza. Jak się okazało po kilku godzinach poszukiwań, ciała w wodzie nie było. Na świadku Adrienie T. zaciąży oskarżenie o naumyślne wprowadzenie w błąd policji i służby ratowniczej, zostanie obarczony kosztami akcji ratunkowej, a być może oskarżony o zabójstwo...”

Pstryk.

Nie mogłem jeść, było mi zdecydowanie niedobrze. Pomyślałem, że różne zdarzają się nieszczęścia. Łyknąłem tylko kawy i wyszedłem z pokoju, czując, że jeśli dłużej pobędę w tych murach, to się uduszę.

Zdecydowałem, że nic nie zrobi mi tak dobrze, jak kąpiel w zimnym oceanie, więc, choć nie było większych zmian w pogodzie, a temperatura nie przekraczała osiemnastu stopni, postanowiłem popływać. Woda powinna być lodowata i z jakiegoś powodu tego mi było trzeba.

Wsiadłem do samochodu i skierowałem się na Pointe de Plouha nad zatoką St. Briec, gdzie najwyższy w Bretanii skalisty brzeg wznosi się na ponad sto metrów nad poziom wody.

Znalazłem dogodne miejsce i zaparkowałem. Nie było nikogo, jeśli nie liczyć starego rybaka, który reperował sieci. Ćmił fajkę i popatrywał spod oka, jak rozbieram się i wskakuję do wody.

Była tak zimna, że w pierwszym momencie straciłem oddech. Zacząłem pływać, by się rozgrzać; po chwili nie czułem już ciała, nie czułem skóry, lecz miało to swoje dobre strony: zimna też już nie czułem.

W lodowatej wodzie nie dało się jednak długo wytrzymać. Wyszedłem po dziesięciu minutach z miłym uczuciem zmęczenia. Zacząłem wycierać się energicznie, by nie skostnieć, wystawiony na zimne podmuchy.

Gdy podskakiwałem na jednej nodze, usiłując pozbyć się wody z ucha, podszedł do mnie rybak, wlokąc za sobą sieć.

– Bohater z pana – wychrypiał, klepnawszy mnie dłonią w łopatkę. – Zimna woda, co?

– Zimna, *monsieur*, skóry nie czuję.

– Właśnie... – Zamyślił się. – Pan wie, *monsieur* – rzekł z wahaniem – tu mało kto pływa.

– Tak?

– W zeszłym roku utonęło tu dwóch takich. – Strzelił śliną.

Obejrzałem się mimowolnie na morze.

– Wypadek?

– No – stary cmoknął – nie jest tu najbezpieczniej. Ale tamci sami się zabili. Skoczyli, o! – pokazał na stromy brzeg.

– Skąd wiecie? Może obsunęła się ziemia...

– My tu wiemy. – Splunął znowu. – Głośno o tym było. Oni nie byli stąd.

– Głupi ludzie, żeby się zabijać.

– Ja tam nie wiem: głupi, nie głupi... A pan co? Turysta pewno, skoro tego nie wie? – Zaśmiał się chropawo.

– Przejazdem jestem.

– No to ładnie... Kościół pan może obejrzyć też, trzy kilometry drogą w stronę Pléhédel. Pan ma samochód?

– Mam, ale ja tam śmierci nie lubię oglądać.

– No, jak pan chce – wychrypiał i znów splunął.

Byłem już suchy. Naciągnąłem golf.

– No, dobrze tak pogadać. Bywaj pan i niech się panu szczęści – pożegnał mnie stary, a na odchodne rzucił: – Ja tam coraz bliżej jestem, to się pogodziłem.

– Z kim? – nie zrozumiałem.

– Z Ankou, starym brachem.

– Z kim?

– Hmm... To różnie... Tego panu nie powiem, bo on się zmienia, w tym roku ten, to znowu ktoś inny...

Nie rozumiałem, co mówił, ale nie dopytywałem, bo mimo grubego swetra było mi zimno i marzyłem o gorącej herbacie.

Podszedł drugi rybak. Przywitał się, zagadał o pogodzie, że zimno. Zaczął nabijać fajkę.

– Kończysz sieć, ta? – zapytał tamtego.



– Już kończę, już. Panu opowiadam, co tu zobaczyć można, żeby czas zabić.

– Plaże mamy ładne, ptaki różne, *monsieur* – zachęcił mnie drugi i jął zwiącać sieć, nie przerywając opowiadania. Mówił z twardym bretońskim akcentem, który jest tak stateczny, że nawet żarty brzmią w nim poważnie.

– Pan zna się na ptakach? – zainteresował się pierwszy.

– Nie.

– Nie? No, szkoda.

– O kościele panu mówiłem, Perro, nie o ptakach – rzekł pierwszy.

– A, to kościoły lubi pan oglądać, *monsieur*? No, kościół mamy piękny. Ja tam mieszkam obok, w Kermaria an Isquit. Co dzień zanoszę świeże kwiaty Świętej Panience. – Przeżegnał się nabożnie. – Ale teraz, *monsieur*, więcej w kościele turystów niż takich, co przychodzą się modlić. – Cmoknął z niezadowoleniem.

Pożegnałem się. Odchodząc, usłyszałem, jak Perro parska:

– Cały dzień łązą, calutki. Rano wchodzę do kościoła, patrzę, też siedzi jedna taka, cała czarna. – Splunął.

– Murzynka znaczy?

– Jaka tam Murzynka. Na czarno ubrana, mówię.

Zatrzymałem się.

– A o której w kościele byliście? – krzyknąłem.

– Rano, *monsieur*, ósma dochodziła! – odkrzyknął. – Zawsze z rana kwiaty Panience niosę, z pustymi rękami nie wypada...

Pomachałem i pobiegłem do samochodu.

Jakkolwiek Lydia zirytowała mnie swym zachowaniem, informacja, że była widziana, bo byłem pewny, że to ona, wzbudziła we mnie ciekawość i niepokój.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziło południe. Nie sądziłem, by siedziała w kościele od czterech godzin; byłem pewny, że już jej tam nie ma. A jednak coś mnie tam gnało, sam nie wiem co. Może mimo wszystko nadzieja i chęć obejrzenia miejsca, do którego ta dziwaczna osoba skierowała swe kroki mimo zmęczenia i problemów, jakie niewątpliwie miała? Jakkolwiek byłby mój motyw, ciekawość zwyciężyła i miast jechać szosą prosto do Plouha, skręciłem do Kermaria an Isquit.

## SPIS TREŚCI

I	Dieppe .....	9
	Z dziennika M. ....	31
II	Plouha.....	35
	Z dziennika M. ....	62
III	Ploumillau .....	66
	Z dziennika M. ....	83
IV	La Roche Maurice.....	90
	Z dziennika M. ....	111
V	Roscoff.....	119
	Z dziennika M. ....	140
VI	Morgat.....	147
	Z dziennika M. ....	161
VII	Baie de Trépassés.....	170
	Z dziennika M. ....	173

JanKa wydawnictwo i...  
tel. 694 536 051  
wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl  
www.jankawydawnictwo.pl